

ks. E.J. Martinez de Alegria SCJ

ŻYWA MOGIŁA W NDUYE – KS. BERNARD LONGO

Niedaleko od Padwy, w Pieve di Giuliana-Curtarolo, 25 sierpnia 1907 roku przyszedł na świat Aquino Longo. Jego rodzicami byli Luigi i Domenica Longo – dobrzy katolicy, podobnie jak wszystkie rodziny w regionie Veneto, zwłaszcza we wioskach. Mieli dziesięcioro dzieci (pięcioro z nich przeżyło), które trudno było wykarcić, więc ojciec ciężko pracował, by utrzymać liczną rodzinę. Aquino został ochrzczony w Pieve di Curtarolo siedem dni po swym urodzeniu.

Świadkowie niewiele pamiętają z czasów jego dzieciństwa. „Był ministrantem i podczas jednej z uroczystości proboszcz powierzył go Matce Bożej. Był zawsze wesołym chłopcem, ale równocześnie spełniającym pilnie swoje obowiązki”. Były to czas I wojny światowej i trudno było o regularną naukę w szkole, jednak Aquino okazał się chłopcem zdolnym, naturalnym. Jedna z jego bratowych wspominała, że „z wielkim zadowoleniem chodził do wikarego w Narsango, by się uczyć”.

Cieszył się też swoim powołaniem, którego zapowiedź odczuł [i przeżył] w okresie swej Pierwszej Komunii św. Było to przygotowanie do seminarium. Chcąc wstąpić do niego, musiał walczyć ze swoim ojcem, który nie zgadzał się na to. W końcu otrzymał ojcowską zgodę, pomimo że jego wybór stanowił wielki problem finansowy dla rodziny.

Seminarium

W Padwie uczęszczał przez dwa lata do liceum, następnie na trzeci rok przeniósł się do Thiene. Choroba zmusiła go do przerwania studiów i powrotu do rodziny. W tym czasie skontaktował się z Księżmi Najświętszego Serca w Albino, gdzie znajdowała się dobrze rozwijająca się szkoła apostołska i pierwszy dom Prowincji Włoskiej. Opiekował się nim w tym czasie proboszcz z Curtarolo, który był jego kierownikiem duchowym i wspomagał go materialnie. Pomagał mu też jego towarzysz – później podobnie jak on – misjonarz, ks. Babolin. „Ich powołanie nie budzi wątpliwości, ponieważ widać je było od ich najmłodszych lat. Ich powołanie, by stać się gorliwymi misjonarzami, nie było tylko pozorne; było to prawdziwe powołanie Boże, musieli bowiem pokonać wiele przeszkód ze strony rodziny”.

Dnia 27 października 1924 roku Aquino Longo przybył do Albino, do seminarium, które znane było prałatowi Roncallemu, będącemu wtedy sekretarzem biskupa Radini Tedeschi w Bergamo. Był to dla młodego Longo rok łaski, studiów i formacji. Potem znowu zachorował i 23 kwietnia 1925 roku musiał powrócić do rodziny.

Nie zrezygnował jednak ze swoich ideałów, pomimo nacisku ze strony ojca, który nakłaniał go by wyuczył się jakiegoś zawodu. Aquino zgodził się podjąć pracę mechanika, która odpowiadała jego zdolnościom, choć nie rozstawał się z myślą przygotowania swego serca do misji.

Rekrut niezbyt fortunny w oczach świata

W 14 grudnia 1926 roku otrzymał wezwanie do służby wojskowej. Został przeznaczony do wojskowego szpitala zakaźnego, gdzie – jak można było przewidywać – zachorował na tyfus. Wrócił do zdrowia, jak opowiada, dzięki wstawiennictwu św. Terezy od Dzieciątka Jezus, po złożeniu obietnicy udania się na misję do Afryki. Był to ślub, o którym przypomni swoim przełożonym w chwili podjęcia decyzji, co do swojej przyszłości.

Po skończeniu służby wojskowej i wyzdrowieniu udał się znowu do Albino, jednak z powodu wieku, przekroczył bowiem granicę wieku alumnów, przełożeni wysłali go do Albisoli, do nowicjatu, dokąd przybył 9 listopada 1928 roku.

Nowicjusz według Serca Jezusowego

W kronice, którą sam pisał (powierzono mu bowiem prowadzenie codziennej kroniki z życia nowicjatu), jawi się jako gorliwy nowicjusz, sercanin, człowiek szczęśliwy – odznaczający się nabożeństwem do Eucharystii i Matki Bożej. Jego imię zakonne tłumaczy wszystko: Bernard Maria od Eucharystycznego Serca Jezusa. Są to dwie miłości jego długiego życia i podstawy jego pracy misyjnej w Kongo. Ksiądz Ceresoli, jego mistrz nowicjatu, w późniejszych latach wspominał go w następujący sposób: „*Pius, pudens, humilis, pudicus*, odznaczający się nieprzeciętną dojrzałością i gorliwością”.

W dniu 6 czerwca 1930 roku o. Bernard złożył swoją pierwszą profesję zakonną *in spiritu amoris et riparationis*.

Mając 23 lata, był „weteranem” w stosunku do swoich towarzyszy. Został skierowany do pracy w szkole apostoelskiej w Trydencie, gdzie uczyło się 13 chłopców. Ojciec Bernard, jak był nazywany przez alumnów, spełniał różne funkcje. Robił wszystko. Był: ojcem, matką, nauczycielem, wychowawcą, towarzyszem przechadzek, a także zawsze gorliwym zakonnikiem, może nieodznaczającym się wyjątkową inteligencją, ale za to bardzo praktycznym i potrafiącym organizować gry i zabawy. Z tych czasów wszystkim pozostały miłe wspomnienia wspólnych doświadczeń.

Formacja i studia

Aby uzupełnić braki w swoich studiach, w latach 1931-1932 Bernard ponownie przebywał w Albisoli. Był to dla niego bardzo ciężki rok: studiował i pracował; w tym roku zmarła też jego matka. Ideał misyjny był dla niego punktem oparcia – rozgrzewał jego serce w ciągu długich dni studiów i formacji.

Po roku studiów, który przebrnął z trudnością, mógł udać się ze swoimi kolegami do studentatu w Bolonii i mieć nadzieję na przyjęcie święceń kapłańskich oraz spełnienie swego misyjnego powołania. Do Bolonii przybył 3 października 1932 roku i pozostał tam do lipca 1937 roku. Pomimo trudności ukończył studia. Tradycyjne życie seminarzystów obejmowało wiele modlitwy, studium, regularne życie wspólnotowe i drobne rozrywki w domu czy w czasie przechadzek. Nie brakło też prac na rzecz utrzymania domu. W pracach tych br. Bernard, dzięki swym zdolnościom technicznym i zręczności, która stała się wręcz przysłowiowa, spełniał ważną rolę. Znajomość techniki pogłębił nawet w pobliskim warsztacie mechanicznym, gdzie zetknął się ze światem robotniczym i poznał go z bliska.

Również on, podobnie jak o. Marcin Capelli, słuchał (29.01.1933) wielkiego misjonarza, prof. V. Zailianiego, opowiadającego o męczennikach z Meksyku, i – podobnie jak jego towarzysz – poczuł powołanie do pracy na misjach, a także gotowość do ewentualnego męczeństwa.

Do profesji wieczystej przygotowywał się przez rekolekcje głoszone przez ks. Philippe'a, który w tym czasie był przełożonym generalnym. Spotkanie z tym kapłanem posłużyło mu do zwierzenia się i złożenia na jego ręce ślubu, który był mu tak drogi, a mia-nowicie, aby udać się na misje do Konga. Potem modlił się i pracował.

Wszystkie te działania zbliżały go do święceń, oraz umacniały jego drogę do kapłaństwa i misji. W swojej modlitwie podkreślał: „Niech Najświętsze Serce Jezusa udzieli mi łaski, ażebym był zawsze godnym ministrem i misjonarzem Jego miłości” – (od pierwszej tonsury – 17.03.1934 – do święceń kapłańskich – 28.06.1938).

Do swojej rodziny zaś napisał przed święceniami: „Jutro – 16 – jest święto Patronki Parafii (św. Juliany). Jest to męczenniczka. Proście ją, aby otrzymała łaskę męczeństwa dla kogoś z parafii”. Czyżby myślał o tym, że może on sam otrzymałby ten dar?

Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk kard. Battisty Nassali Rocca 21 czerwca 1937 roku, a następnego dnia odprawił w studentacie w Bolonii swoją pierwszą mszę świętą, którą nazwał „narodzinami” i w czasie której życzył współbraciom, „aby nigdy nie zanikła radość Ducha Świętego, która powinna być zasadą ustawicznego postępu na drogach ku kapłańskiej doskonałości”. Są to myśli zebrane przez kronikarza domu, który w dalej napisał: „Odjechał do Curtarolo o godzinie 3 w nocy. Odprawi pierwszą mszę św. i rozpali zapalem misyjnym swoich bliskich mu parafian”.

Ksiądz Bernard powrócił w sierpniu do studentatu w Bolonii, aby ukończyć czwarty rok teologii. Tam dochodziły do niego wieści z misji i spotykał się z przyjeżdżającymi misjonarzami. Wszystko to przemieniało jego serce. Przed święczeniami napisał do przełożonego prowincjalnego: „Proszę o największą łaskę, jaką ojcowskie serce może wyświadczyć synowi duchowemu: proszę o pozwolenia, abym mógł być wyświęcony na kapłana (Najświętszego Serca) i abym mógł jak najszybciej pracować na Świętych Misjach. Proszę o to Księdza na kolanach i jako posłuszny syn (...). Moje serce dozna uniesienia, kiedy ujrzę «fiat» mojego Przewielebnego Ojca Prowincjała. To «fiat» przyniesie mi Ducha Świętego, a ja zaniósę Jezusa duszom”. Kilka dni wcześniej przypomniał ojcu generałowi swój „ślub” udania się na misję.

Wola przełożonych w tym momencie była jednak inna: miał jechać do Argentyny. Wydawało mu się, że wszystko się zawaliło. Przebywał jeszcze rok w Spotorno, w domu dla neoprofesorów, gdzie przynajmniej mógł zachęcać do gorliwości misyjnej młodych alumnów. W kronice tego domu jawi się jako animator spotkań misyjnych i przewodniczący Kółka Misyjnego (COR).

Z Argentyny do Konga Belgijskiego

Misjonarze wyjechali z Genui 16 marca 1938 roku. Przełożeni i współbracia, którzy widzieli, że rozpoczyna się w pełni włoskie dzieło misyjne, byli szczęśliwi. Ksiądz Bernard napisał: „Wiedzia-

łem, że moje powołanie misyjne, umiłowane z prawdziwą pasją, będzie mnie kosztowało wiele ofiar. Poświęciłem wszystko, a z misjonarza pozostała mi miłość i Ukrzyżowany”.

Jego krótkiemu pobytowi w Argentynie towarzyszył bałagan prawny. Było trzech przełożonych dla tej samej misji: hiszpański, holenderski i włoski. Kogo słuchać? Ksiądz Bernard starał się przeżywać swoje apostołstwo w ludzkim i zakonnym ubóstwie, realizować plan posłuszeństwa należnego przełożonym, być oderwanym od wszystkiego, co zbędne, modlić się i wypełniać posługę parafialną i misjonarską w Perez i w okolicy, docierając aż do Beraveru, skąd pochodzi o. Virginio Bressanelli, który kiedyś stwierdził: „Mogę powiedzieć, że u początków mojego powołania był ks. Longo, podziwiany w rodzinie, a następnie w szkole apostołskiej w Maciel”.

Nastąpił nieoczekiwany zwrot: ks. Longo miał pojechać do Kon-ga. Pośród cierpień i niezrozumienia światło nie zgasło ani w Rzymie, ani w Bolonii. Pamiętano dobrze o „ślubie” ks. Bernarda i myśląc o spełnieniu jego marzeń i o potrzebach Konga, wysłano go właśnie tam.

Wyjechał 24 września 1938 roku, zaledwie kilka miesięcy po pobycie w Argentynie, jednak ile w tym czasie doświadczył wewnętrznego cierpienia jako zakonnik i misjonarz! Nie wydaje się więc niczym dziwnym, że przybywając do Brazzaville, powiedział: „Spontanicznie modlę się: *Benedicite omnia opera Domini Domino*”. Było to 19 września 1938 roku.

Misjonarz i jego ziemia

Pierwszy kontakt z misjonarzami ks. Bernard Longo miał w Stanleyville. Wzorem dla niego pod tym względem był bp Grison. Jego następca, bp Verfaillie, był kolejnym pasterzem, od którego mógł wiele się nauczyć – jako od prawdziwego misjonarza. On też natychmiast zapytał go, czy boi się dżungli. „Wszystko, co przestrasza innych, mnie się podoba!” – spontanicznie odpowiedział

ks. Bernard. Okazał całkowitą dyspozycyjność jako misjonarz i został wysłany do Wamba, do regionu w tym czasie niezbadanego. Przybył tam 3 grudnia 1938 roku, aby rozpocząć naukę języka i pracować od rana do wieczora.

W styczniu odbył swoją pierwszą podróż śladami bp. Grisona. Przebył rzeki, moczary, gęste i popłątane lasy, zetknął się z głodem ludzi, chorobami – tak przez 550 km. I to będzie jego los: ciągłe podróżowanie, wizyty składane we wspólnotach chrześcijańskich, ewangelizowanie i zagłębianie się w mentalność ludzi i w kulturę plemion Walesów, Pigmejów itp. Jego towarzyszami od początku byli chłopcy z misji, wierni, weseli i dumni z tego brodatego misjonarza, który zawsze potrafił rozwiązywać wszystkie problemy – nawet polował na zwierzynę, rozwiązując w ten sposób kwestię głodu. Różaniec i śpiew zawsze towarzyszyły męczącym pieszym wędrówkom w ciągu dnia czy później w czasie podróżowania małą ciężarówką. Podczas jednej z trudnych podróży ks. Bernard zachorował na zapalenie płuc. Powrócił do bazy, aby się leczyć, obawiał się bowiem gruźlicy, która zmusiłaby go do powrotu do Europy.

W czasie podróży ks. Longo spotkał się w dżungli z Giuseppe Moka, katechistą pracującym tam od 1919 roku. Był to człowiek świecki, bardzo zaangażowany w swoją pracę i zasłużony w historii dla naszej misji.

Ksiądz Bernard w trakcie tych podróży odkrył świat Pigmejów, bliskich sąsiadów Nduye, i doszedł do tak wielkiej ich znajomości, że wzbudzał podziw sławnych etnologów, którzy przybywali tam w celach naukowych. Dla Pigmejów był ojcem, opiekunem i przyjacielem aż do końca. Ukochali go do tego stopnia, że przyszli ofiarować mu schronienie w czasach prześladowań, gdy groziła mu śmierć.

Ksiądz Longo wyszedł z inicjatywą założenia placówki misyjnej w sercu dżungli, aby uniknąć trudów wędrówek i być bliżej chrześcijańskich wspólnot. Jako miejsce na nią wybrał Nduye, wśród

Walesów i Pigmejów, blisko rzeki o tej samej nazwie, co miejscowość. Jednakże aż do 1940 roku nie zdołał wybudować kościoła i chaty, w której by mógł zamieszkać. W Kilima cia' Bikira (Wzgórze Najświętszej Dziewicy Maryi) pomagał mu stary i mądry katechista Giuseppe.

Jako Włoch musiał ponieść konsekwencje II wojny światowej i przenieść się na pogranicze misji Avakubi, gdzie jako dobry mechanik zajął się wówczas naprawami silników promów kursujących po rzece Ituri. Jednak zawsze znajdował czas na działalność apostolską w okolicy. Był to dla niego okres fascynacji motoryzacją. Otrzymał w darze samochód, który praktycznie nie nadawał się do naprawienia, stworzył bazę przyszłej szkoły w Nduye. Po-został w misji w Avakubi aż do 1949 roku (z powodu braku perso-nelu), podejmując misyjne podróże wraz z chłopcami z okolicy. „W tych miejscach – pisał z Nduye 11 listopada 1946 roku – odkry-łem wartość medycyny dla samego misjonarza, aby pomagać lud-ności i uczynić bardziej skutecznym jego głoszenie Ewangelii”. Dodał potem: „Biedne jest życie misjonarza-tułacza, biedne, lecz piękne i nieocenione, kiedy jest z nim łaska Boża”. Jest to piękny komentarz do tych ustawicznych wędrówek w regionie Wamba, w poszukiwaniu dla siebie właściwego miejsca.

Gdy słuchało się opowiadań ks. Bernarda, czytało jego pisma, słuchało się go w czasie spotkań, kiedy powrócił do Włoch jako „ubogi i mądry żebrak”, miało się wrażenie, że przeżywa się pierwsze doświadczenia apostolskie Kościoła.

Książka ks. Tessarolo *Książd Longo w męczeństwie Kościoła kongijskiego*, napisana w 1965 roku, bardzo nam przybliżyła postać wielkiego misjonarza. Razem z dokumentami przygotowanymi przez ks. Girardiego dla *Positio „super virtutibus”* jest podstawą treści tego wystąpienia.

Wszyscy podziwiali jego ducha modlitwy, ofiary i miłości do misji. Kiedyś opowiedział o Bożym Narodzeniu 1947 roku, obchodzonym tydzień później, niż wskazuje kalendarz, w Bafwa-

-sende. Cały dzień spowiadał, troszczył się o katechumenów i o ich naukę, pościł. Był zmęczony i cierpiał z powodu reumatyzmu. O godz. 21 był już tak zmęczony, że nie mógł się ruszać. Musiał się przespać przez godzinę i zjeść coś, aby potem, o godz. 23, roz-począć liturgię. Sam o tym tak napisał: „Gdybym mógł płakać w czasie tych dwóch mszy świętych, płakałbym. Ale misjonarz musi pohamować uczucia swego serca. Musi to zrobić wobec tylu chrześcijan bez pasterza (widzą kapłana najwyżej raz w miesiącu). Sam bez współbraci, którzy by mu pomogli w posłudze misjonarza, sam bez rodziców i bez przyjaciół, nie jest nikim innym jak tułaczem dla Chrystusa i dla dusz” (Nduye, 5 stycznia 1948 r.).

Misyjne miejsce dla ks. Longo

W 1949 roku Wamba zostało odłączone od Stanleyville i ustanowione osobną diecezją. Nowy biskup Wittebols nadał miejscowości Nduye rangę głównej stacji misyjnej i 15 maja 1949 roku mianował ks. Longo jej przełożonym. Piętnaście lat później, podczas tragicznego listopada 1964 roku, obaj przelali krew za ziemię Iturii.

Przed podjęciem swoich obowiązków ks. Longo udał się na wypoczynek do Europy. Powrócił do Włoch, do swojej rodziny, przyjaciół, dobroczyńców, przychodząc do nich, aby przedstawić im swoje plany i zachęcić do zbierania funduszy na rzecz nowej misji. Zbierał wszystko: maszyny rolnicze, narzędzia techniczne dla swojego warsztatu, pieniądze dla wypłacania katechistów itd. Wśród darów, które otrzymał była też piękna statua Matki Bożej i pięć dzwonów dla jego „kościola”, wyrażających wspomnienie ojczyzny i tęsknotę za ziemią, gdzie dźwięki dzwonów nigdy nie milkną.

Zdołał pozyskać dla swojej misji także siostry zakonne, pobożne matki z Nigrizi czy kombonianki, które będą mu towarzyszyły aż do dnia jego męczeństwa. Będą one duszą i „matkami” jego misji

w nauczaniu dziewcząt i matek. Będą pracować też w przychodni. Stary misjonarz, człowiek głębokiej modlitwy i ich duchowy kierownik, pozostanie im zawsze bliski. Siostry będą miały piękny dom, podczas gdy on będzie wiódł ubogie życie wśród ubogich.

Przebywając w odległej Europie, latem 1949 roku, ks. Longo otrzymał listy od swoich katechistów z Bafwasende: „Chociaż Twój kraj jest piękny, to kochamy cię bardzo, wracaj szybko. Również wśród nas są serca, które cię kochają jak bracia, jak prawdziwe dzieci, które wyprowadziłeś na ścieżki do nieba”.

Stacja misyjna w Nduye, gdzie ks. Bernard przebywał do końca życia, liczyła 20 000 mieszkańców, obejmując 2 km², a w Nduye mieszkało 500 osób. Trzeba było tam robić prawie wszystko.

Niekiedy ks. Longo towarzyszyli inni księża, ale prawie zawsze był sam i zajmował się wszystkim osobiście. To misjonarz „starego stylu”, więc życie z nim nie było łatwe: ubogi, człowiek ogromnej pracy, modlitwy i surowego życia zakonnego. Misjonarz godny podziwu, jednak nie łatwo było mu towarzyszyć. Doświadczyli tego w szczególności Belgowie i Holendrzy, bardziej otwarci na życie i kulturę, a także na korzystanie z dóbr materialnych. Ksiądz Noacco, jeden z alumnów z Trydentu, był tym, który najczęściej mu towarzyszył.

Ksiądz Bernard był podziwiany za swą serdeczność, braterskość. Doceniano jego wielkie doświadczenie i znajomość pracy misyjnej. Jednak kiedy przebywano z nim jakiś czas, to wówczas dostrzegano, że nie zapominał on o maksymie o. Andrzeja Prévota: *Pas de tabac, pas des liqueurs, pas des journaux*.

Ksiądz Longo był człowiekiem wielkich planów. Natychmiast zabrał się do pracy w swojej misji, tworząc prawdziwe „gospodarstwo” na wzór benedyktynów (kościół, warsztaty, szkoły, przychodnie, uprawne pola). Wprowadził uprawę pomarańczy, ryżu, kawy itp. Wszystko to robił, aby przyczynić się do zwalczaniu głodu i nauczyć tubylczą ludność pracować (w dolinie Nduye było 30 000 Pigmejów – tych nie zdołał nauczyć niczego) oraz

tych, których sprowadził z innych okolic, jak Wanandów, bardziej przyzwyczajonych do pracy, którzy zamieszkiwali tę długą dolinę w Nduye-Ituri, ciągnącą się aż do Mambasa. Inną liczną grupę stanowili potomkowie Arabów (nawróceni na islam, będący wspomnieniem czasów niewolnictwa), z którymi ks. Longo miał wiele problemów z powodu ich złośliwości (w Mambasa w 1964 roku Iman Charles, jeden z rebeliantów pochodzenia arabskiego, potępił ks. Bernarda).

Pojawił się również problem protestantów, z którymi niełatwo było się dogadać. Jednakże ks. Longo podziwiał ich pracę i zaangażowanie misyjne. „W jaki sposób protestanci mają wiele osiągnąć? Kwestia dolarów? Nie zawsze. Znam pośród nich dwóch bohaterów... Ewangelii. W swoich pracach misyjnych są dobrze wyposażeni w aparaturę medyczną. Zaskakujące są także obserwacje, które podkreślają ich wielkoduszność i hojność w dawaniu i przyjmowaniu, a pod tym względem Kongijczycy są bardzo wrażliwi – trzymają się z dala od białych kolonialistów, skorumpowanych, będących złym przykładem dla chrześcijan”.

W Nduye jeszcze w 1952 roku, po wielu pracach, domem ks. Bernarda była dalej chata zbudowana z gliny i suchych liści...

Siostry, katechiści, świeccy, ks. Longo – wszyscy siali i zbierali owoce na misji, która przez wiele lat była spokojna. Rozkład modlitw, praca, codzienna katecheza oraz każde święto to nie-strudzone dzieło ks. Bernarda. Uczył, budził nadzieję, towarzyszył ludziom i modlił się – od wczesnych godzin rannych do późnych wieczornych. Sama jego obecność była modlitwą. Wiedział, gdzie działać. Przygotowywał homilie lub katechezy dialogowane, wspominane i podziwiane przez innych misjonarzy. Pomimo twardego charakteru, a także poważnego i surowego oblicza, umiał wychowywać i skłaniać do poprawy chrześcijan i dzieci. Był szanowany i znany wśród ludności kongijskiej i przez białych nie tylko ze względu na umiejętności techniczne postępowania z ludźmi, ale dlatego, że był Bożym człowiekiem, chrześcijaninem

i solidnym zakonnikiem. Jego miłość, zwłaszcza do najbardziej nieszczęśliwych, mogła być brana za przykład.

Do studentów w Monza pisał w tych latach: „Spalony przez słońce, pływający wśród równikowych deszczy, pamiętam zawsze o was... Właśnie w waszej kaplicy tyle razy patrzyłem na was i z wami na święty ołtarz i prosiłem, by uczynił nas wszystkich apostołami na wzór św. Pawła... Nie zapominajcie, że od wielu lat jestem na wygnaniu, dla Chrystusa, ale zawsze na wygnaniu... Wieczorami, zmęczony słońcem i pracą, nogi i ręce płoną mi od upału, ale zawsze trzeba iść do przodu!” (4.09.1951).

Jako misjonarz był tym, który niósł słowo Boże do dżungli, do swoich małych wspólnot i do każdego. Wszyscy mogli się z nim kontaktować. Był misjonarzem łatwo nawiązującym znajomości. Potrafił tak przemawiać, że trafiało to do wszystkich: „Miał prawdziwy talent, wielu nazywało go czarodziejem dżungli”. Wracał do domu wierny swoim obowiązkom zakonnym (msza święta, medytacja, modlitwy, odnowienia miesięczne, adoracja, Godzina Święta, wiele różańców itd.). I powtarzał, jak to już było wspomniane: „Nduye, jak mówili misjonarze, nie było miejscem, skąd wracało się grubymi i spasionymi”.

Wszyscy przyjeżdżający i odwiedzający misję zostawali za-fascynowani jego słowem. Był człowiekiem głębokiej wiedzy i umiał ją przekazywać. Znał kulturę, tradycje, środowisko, ludność kongijską, której głosił nie tylko Ewangelię, ale i przekazywał cywilizacyjne i postępowe nowinki, dzień po dniu, niestrudzenie, stąd mógł zrozumieć mentalność tubylców i zdobyć zaufanie ludu. Uprzywilejowane miejsce zajmowały w jego życiu dzieci. Miłował najbiedniejszych i używał ostrych słów przeciw wyzyskiwaczom bez względu na to czy byli biali, czy czarni. (Niezapominajmy, że były to czasy bezwzględnego i twardego kolonializmu).

W wielu momentach swojego życia poprzez korespondencję dawał odczuć to, co uważał za najtrudniejsze doświadczenie, a mianowicie: samotność serca. W liście z 18 sierpnia 1951 roku

napisał: „Droga młodzieży, misjonarz jest szaleńcem dla Chrystusa. Żyje jak św. Paweł, pośród wszelkich niebezpieczeństw i pokus. Ale Chrystus go umacnia”. A wśród wspomnień o pewnej siostrze zakonnej napisał: „Jest pełna światła jak piękne włoskie niebo”.

Ku męczeństwu w Mambasa

W 1964 roku Kościół kongijski był już dobrze zorganizowany, a po osiągnięciu niepodległości w 1960 roku, zaczynał stawać się bardziej autonomiczny, jednakże walki o władzę i podziały polityczne doprowadzały nowe państwo do rozpadu. Pragnienie nie-zależności i władzy dla części partii i charyzmatycznych przywódców popychało wschodnie Kongo do wojny, popieranej przez Rosjan i Chińczyków. Następował też powrót do tradycyjnych lokalnych religii mesjanistycznych – jak Kitawala i Khiwangismo.

Atak nastąpił z daleka. Napięcie wzrastało już od 1957 roku, kiedy to ks. Longo przestrzegał przed tym, co mogło nastąpić. W 1962 roku, w czasie swej ostatniej podróży do Włoch, żegnając się w studentacie w Bolonii powiedział: „To ostatni raz widzimy się... Pozdrowię was od gwiazd”.

W 1963 roku w Nduye panowały nędza i cierpienie: „Święci nie zmieniają się zbyt. Cierpienie z ryżem w ustach, zwycięża wszystkich nieprzyjaciół”. „Nędza, przemoc ze wszystkich stron, udręczenia i krzywdy ze strony «polityków» i ich naśladowców. Nędza, powiew wojny i przemoc”. Także Pigmeje wołali do ks. Bernarda: „Umieramy z głodu” (29.12.1963), a on napisał do swoich współ-braci, dręczony bezradnością: „Dopóki zamknięci będziecie w waszych pięknych domach, będzie wam trudno dokonać skoku w próżnię, jak misjonarze. Jednakże naszym szczęściem jest właśnie fakt, że wyrzuciliśmy wszystko przez okna” (27.12.1963).

Pod koniec marca 1964 roku, chociaż sytuacja materialna misji znajdowała się na dobrym poziomie, ks. Longo napisał: „W ciągu

czterech lat niepodległości nasz kraj został kompletnie spustoszony. Wokół nas wszędzie całkowity bałagan, natomiast u nas w dalszym ciągu trwa pokój”.

Jednak w tym roku wschodnie Kongo znalazło się w rękach rebeliantów, wśród których dominowali niezależni radykałowie i komuniści, wyznający tradycyjne religie i będący często pod wpływem Arabów. Nic dziwnego, że ruch ten widział w Kościele, w misjach – jak to zwykle bywa – wrogów, których trzeba zwalczać i pokonać z jednej strony za ich częściowe powiązanie z przeszłością kolonizatorów, a z drugiej strony za główną przeszkodę w budowaniu nowego totalitarnego społeczeństwa o zabarwieniu komunistycznym i obdzierające lud kongijski z „prawdziwego ducha religijnego”.

Ugrupowanie „Simba” (lew z dżungli) było głównym symbolem i twórcą programu, który dotarł do Stanleyville 4 sierpnia 1964 roku, a wraz z nim reżim terrorystyczny w stosunku do chrześcijan, których liczba w archidiecezji wynosiła wtedy 207 000 – stanowili oni połowę ludności. Na początku misjonarze nie byli źle traktowani, jednakże wraz z coraz większym napięciem sytuacji rozpoczęły się prześladowania, które dotknęły księży i siostry nad *Rive Gauche* (na lewym brzegu) rzeki Kongo.

Następnie prześladowania przeniosły się do Wamba, gdzie biskup Wittebols pozostał ze swoją trzodą, odmawiając udania się do Rzymu, choć się od niego tego domagano. Nie posłuchał również rady, jaką dawali mu misjonarze. 26 listopada 1964 roku, w towarzystwie 12 sercanów i jeszcze kilku innych osób, przelał swoją krew na ziemi swej diecezji. (Jak powiedział kiedyś w starożytności Tertulian: „Krew męczenników jest posiewem chrześcijan”).

Dnia 22 sierpnia nadciągnęła nad Nduye groźba przemocy, a wszystko rozpoczęło się od oskarżenia sióstr o korzystanie z ciężarówki, której używali rebelianci. Z pomocą wszystkich i ks. Longo zdołano zażegnać konflikt w święto Niepokalanego

Serca Marii. Jako dziękczynienie ks. Bernard postawił pomnik z figurą Matki Bożej. Został ogłoszony akt zawierzenia Matce Bożej. „Kaź Jezusowi poprzez Twoją miłość, aby obronił Twoją misję i Twoich misjonarzy” – napisał ks. Longo w nowennie, o którą prosiły siostry w obliczu tragicznego momentu, który się zbliżał. Ojciec Longo zawsze był pełen ufności. „Wam nie uczynią niczego złego” – powiedział 25 października.

Droga na Golgotę

Byli w kościele 29 października. Właśnie zakończyła się Godzina Świąta. „Idziemy do Mombasa – powiedzieli członkowie Simba do ks. Longo i siostr. – Zatrzymamy się tam kilka dni, aż sytuacja się uspokoi”. A jednak nie był to gest pokojowy. Ksiądz Bernard kop-niakami i uderzeniami pięści, a potem straszliwym ciosem karabinu w usta, został zapędzony do więzienia. Wraz z nim byli Mali Bracia Jezusa, którzy towarzyszyli mu aż do męczeństwa, wspólnie się modląc. Wszystkich ich bito i głodzono w więzieniu, w którym przeżyli trzy dni. Siostronom udało się przemycić im jedynie szklankę mleka. Nadeszła długa noc, niczym noc Jezusa w Getsemani, której tłem był krzyż.

Ksiądz Longo przesłał siostronom wiadomość następującej treści: „Odwagi, siostronom nie uczynią niczego złego. A gdy chodzi o mnie... Powiedzcie braciom, że jest to najpiękniejszy koniec życia dla misjonarza. Dziękuję wam za wszystko, coście uczynili. Przebaczcie mi wszystko... Módlcie się za mnie”.

Nastąpiły groźby, przekleństwa, bicie. Spośród ludu nikt go nie potępił, był bowiem zbyt znany i kochany. Został skazany na śmierć. Mówią, że szedł z trudem, przyjmując na siebie cierpienie, ale jego oblicze promieniowało pogodną modlitwą. „Moje ciało możecie zabić, ale moja dusza pójdzie do nieba” – pouczał. Dziś przeszła jego pierś. „To nie jest śmierć, to jest sen” – szeptał. Dwa strzały z pistoletu z ręki Imana Charlesa zakończyły to całe

„wido-wisko” rozgrywające się 3 listopada 1964 roku. Podobnie jak Chrystus u bram miasta, na skrzyżowaniu dróg, ks. Longo patrzył na swoją misję w Nduye, która wkrótce miała zebrać jeszcze śmiertelne żniwo wśród płaczu i bólu jego chrześcijan.

Kardynał Suenens powiedział w jednej ze swoich homilii: „Oni wybrali tę służbę. Zostali powiązani, traktowani jako więźniowie, jako przestępcy. Dwa tysiące lat temu Chrystus przechodził przez ten sam los. Nie ma żadnej wątpliwości, że nasi misjonarze byli w pełnym sensie świadkami Chrystusa nie tylko przez swe słowa, ale również przez swoje czyny, a w końcu przez swoją śmierć; śmierć przyjętą przez Pana i w Panu”. „Ta ich okrutna śmierć uczestniczy, ze specjalnego tytułu, w odkupicielskiej śmierci Zbawcy świata. Jest to święte następstwo Wielkiego Piątku, który był świadkiem śmierci na krzyżu Syna Bożego. Refleksje i cierpienia tej jedynej agonii..., ale bogatej w łaski zmartwychwstania” (22.12.1964).

Z języka włoskiego tłumaczył
ks. Adam Włoch